

DZIENNIK DLA DZIECI

N^o 274. TOM 4^y

30 LISTOPADA WE WTOREK 1830.

O *Kolibrze*.

Kolibra nazwaćby można pieścidelkiem natury. Śliczne kolory jego pióra tak są dziwnie pomieszane, iż za każdym rzutem oka zdają się zmieniać swoją barwę. Ogon jego złożony jest z dziewięciu piór, wystających w kształcie wachlarza; a dwa ostatnie są dwa razy dłuższe od niego całego. Głowę samca ozdobi czubek, gdzie połączone są wszystkie farby, któremi skrzydła jego jaśnieją. Oczy ma czarne i żywe. Dziób grubości igły, jest długi i cokolwiek zakrzywiony. Język, który mocno wywiesza, służy mu do czerpania rosy aż z samego dna kielicha kwiatów, i do łapania małych owadów,

jakie się tam ukrywają. Żywi się on pyłkiem z kwiatów pomarańczy, cytryny i granaty, który zbiera, latając podobnie jak motyl, ciągle bez odpoczynku. Lot jego jest tak szybki, że przedź go można słyszeć niż widzieć. Poruszenia skrzydeł jego wydają odgłos podobny do brzęczenia much wielkich. Jak one, buja w powietrzu i wydaje się czasem być nieruchomym.

Mówią, że w krajach, w których kwiaty jednę tylko porę mają, przy schyłku onęj, kolibr osiada na gałęzi drzewa, i zostaje tam w stanie otrętwienia aż do jęj powrotu. Ale w krajach, w których ciągle przybywa, można go przez cały rok widzieć.

Lubią zawieszać swe gniazda na gałęziach drzew pomarańczowych, dla tego zapewne, że się nie uginają pod ciężarem. Gniazda te, w kształcie pół-skorupy jaja, są zbudowane z korzonek traw suchych i obite pewnym rodzajem bawełny, bardzo cienkiej i mięciuchnej. Samica znosi tylko dwa jaja wielkości grochu,

które wysiada, z wielką troskliwością i czułością. Małe, kiedy się wyklują, nie zdają się być od much większe. Powoli okrywają się puszkami równie delikatnym jak na kwiatach, a wkrótce potem świetnemi piórami.

Kiedy ojciec i matka oddalają się dla szukania żywności, pewne ptaki czychające na cudze gniazda, chcą korzystać z téj nieobecności i porywać pisklęta. Ale rodzice nie spuszczaają ich z oka; powracają szybko jak błyskawica, ściągają śmiało nieprzyjaciela; a jeśli go zdołają dogonić, wciskają się mu zręcznie pod skrzydła, i swoim ostrym dzióbkiem ranią go tysiącem pocisków.

(Dokończenie nastąpi).

Stary Tobijasz.

Jednak ja sobie jeszcze żwawy, — mówił stary Tobijasz, — dostawszy się na wzgórek należący do dóbr, które właśnie odziedziczył. Tak, żwa-

wy sobie jestem, rzekł powtórnie, mam już lat sześćdziesiąt pięć, a jeszcze czerstwy i silny. Teraz sobie będę jadł, pił, niczem nie będę sobie głowy zaprzątał, nie dopuszczę do serca, co by mnie zmartwić mogło, będę sobie zawsze wesoly... Piękneto rzeczy, mówił dalej, przypatrując się rozległej majątności... tu założę sobie szkółkę drzewek... tam zasieję las... ta chałupka pójdzie ztąd precz, bo mi widok psuje.

Ale cóż się stanie z biednym Jakóbem, — przerwał towarzysz, — cóż się stanie z jego biedną rodziną? — Niech sobie robi co mu się podoba... I ten młyn zniszczę. — A gdzież biedni wieśniacy będą mléć zboże? — zapytał powtórnie ów towarzysz. — Co mnie tam do tego — odpowiedział Tobijasz. — Wśród tych układów i zamiarów wrócił do domu, jadł dobrze, pił wyborne wino... położył się spać i... nie wstał już więcej.

Jakób z swoją rodziną pozostali w chałupce i młyn do dziś dnia jeszcze stoi, i miele zboże dla wieśniaków.